

Stefan Morawski

Władysław Tatarkiewicz — co dla mnie znaczy

Z upływem lat rośnie wielkość Władysława Tatarkiewicza. To nic, że prawie nie egzystuje w obiegu kulturowym wyznaczanym przez mody intelektualne i tyleż samo zmienne koterie i układy, które ustalają doraźną hierarchię dóbr. W samej jednak rzeczy, *Historia estetyki* jest czytana wciąż i cytowana na całym świecie. Okazało się, że stanowi dzieło dotąd nieprześcignione i chyba długo takim pozostanie.

Historia filozofii — zgodnie z zamierzeniem Autora — jest połykana przez środowisko humanistyczne, a także przez inteligencję z innych kręgów, kiedy trzeba robić pierwsze kroki w tej dziedzinie. W kamienicy, w której mieszkam, co parę tygodni ktoś pożycza ode mnie Tatarkiewicza! Powiadało się, że autor upraszcza poglądy przedstawiane i każdemu myślicielowi przyznaje rację. Zarzut bezpodstawny. Trzeba ogromnej wiedzy, by czyjaś myśl uprościć, czyniąc ją jaśniejszą, niżli w wydaniu samego filozofa. Wedle obranej przez Tatarkiewicza strategii, historyk, inaczej niż filozof, ma wyciągnąć „esencję” z danej koncepcji i unikać wikłania tego, co proste i zrozumiałe. Wartości dydaktyczne wychodzą wówczas na czoło; trzeba przyswoić elementarną wiedzę o danych filozofach, aby potem dopiero zanurzyć się w ich dylematach, paradoksach i aporiach. Co się dotyczy zarzutu drugiego, historykowi — rzekłby Tatarkiewicz — niejako narzuca się sceptycyzm. Dostrzega on przede wszystkim różnorodność koncepcji i ich równoległą prawomocność. Jeśli chce obronić określone stanowisko, wybiera się na wędrówkę już filozoficzną, a nie historycznofilozoficzną.

Historia estetyki jest pracą na wskroś twórczą, oryginalną, z wyraźnym autorskim piętnem. *Historia filozofii* korzysta z materiałów już opracowanych, ale w sposobie ich klasyfikowania i systematyzowania jest własna. Tak więc oba dzieła trwają jak gwiazdy na firmamencie.

Teraz o Tatarkiewicz-dydaktyku, oddzielnie, choć już problem ten został potrącony. Jakże mało autorów dorównuje Mu w jasności wykładu, w wydzielaniu tego, co w nim najważniejsze, prowadzeniu bez meandrow ku celowi poznawczemu, który został wytyczony. Wciąż dźwięczą w uszach Jego słowa: udobitnianie wątków naczelnych. Wyjście od rezultatów wykładu poprzedniego i re-

asumpcja wywodów ze spotkania aktualnego. I tekst zawsze mówiony, gdyż to rozmowa ze słuchaczami, żywa, przekazana piękną polszczyzną. Trzeba by z taśmy magnetofonowej nagrywać Jego odczyty, aby uczyć umierającej dzisiaj retoryki.

O Tatarkiewiczzu-człowieku, który posiadał sztukę bogatego życia. Podziwiałem Go od pierwszej chwili naszego spotkania, dlatego że umiał na wszystko wygospodarować czas: na twórczość i nauczanie, ale też na życie towarzyskie i rozrywki. Wszystko to czynił z właściwym Mu umiarem, nieomylnie kierując się dobrym smakiem. Istny *homo aestheticus*, realizujący w praktyce to, co objaśniał teoretycznie. Ład wewnętrzny godził z ładem zewnętrznym. Takich osobowości nigdy więcej nie dane mi było poznać. Sztukmistrz i wielkiej klasy intelektualista wzajem się w jego osobie wspierali i skłaniali do refleksji; czy taki jak on wyjątek potwierdza regułę dysonansowej całości, jaką jest każdy z nas, czy też może udowadnia, iż można szczęśliwie budować z egzystencji coś na kształt dzieła artystycznego.

Na koniec o Tatarkiewiczzu moim własnym, który mnie coraz częściej nawiedza we wspomnieniach. Z lat okupacji i tuż powojennych. O profesorze, który już pierwszą naszą rozmowę prowadził tak, jakbyśmy byli starymi znajomymi. Który zapytał mnie, czy mam już ulubionego filozofa, a kiedy ja odrzekłem, że Pascala, zagadnął mnie dlaczego. Odpowiedziałem: „Ponieważ jest bardzo dramatyczny”. Po chwili namysłu rzekł: „Właściwie wszyscy filozofowie są na swój sposób dramatyczni, gdyż usiłują dać jedyną miarodajną odpowiedź na nękające nas fundamentalne pytania, a takiej odpowiedzi nie ma”.

O Tatarkiewiczzu, który wówczas otoczył mnie ojcowską opieką, a nie tylko wprowadzał w życie naukowe. Nigdy mu za te serdeczności nie podziękowałem, a winienem był. Dług niespłacony, który jak kilka innych, ciąży.

Po obronie mojej pracy doktorskiej przyszły inne czasy. Inne sprawy wysuwały się na czoło. Należą one do mej biografii i nie dla nich tu miejsce. Tatarkiewicza nie wolno mi jednak przemilczeć. We wczesnych bowiem latach stalinowskich dwukrotnie wystąpiłem z krytyką Jego poglądów na sztukę. Atakowałem mego nauczyciela, którego wygnano z uczelni i był wówczas *persona non grata*. Pouczałem go jak marksizować. Śmieszne to, smarkate i głupie. Nie ma usprawiedliwienia dla mego ówczesnego zachowania. Mogłem prosić jedynie o przebaczenie. Nie nastąpiło ono wówczas, mimo prywatnych przeprosin, gdyż za bardzo Go dotknęły moje krytyki. Nie nastąpi nigdy.

Ten epizod należy do najsmutniejszych w moim życiu. Robiąc dzisiaj rachunek sumienia, to, że zraniłem moją nielojalnością Tatarkiewicza, składa się na jedną z głównych porażek mego życia. Czy rekompensuje ją fakt, że starałem się uchronić wiano, które mi przekazał?

On trwa jak wybrańcy losu, którzy mogą mówić o sobie zasadnie *exegi monumentum*. Chwała ciągłej o nim pamięci!